Rok VI. 23 Grudnia 1934. Nr. 52

DZWONECZEK



W NOC WIGILIJNĄ.
Obraz Michała Pociechy.



Skończył się Adwent, okres oczekiwania, okres wyglądania, pragnień, tęsknoty. Spuściły już Niebiosa rosę, obłoki spuściły Sprawiedliwego, ziemia zrodziła Zbawiciela — jako się modlił o to Kościół święty we mszach roratnych..

„Ziemia zrodziła Zbawiciela“... I oto leży w Betlejemskiej Stajence jako maleńki Jezus, drżący z zimna, bo Mu Matusia nie dała sukienki... Ubogą była, nie miała z czego ni za co przygotować dla swego Synaczka pięknej kołyseczki, ni pieluszek w dostatku. Ubogą była...

Ale bo też ten Syn Jej jedyny, chociaż Boga Odwiecznego ma za Ojca, Wszechmocnego Pana i Rządcę wszechświata, — chciał właśnie ubogim się narodzić, jako niejeden człowiek biedny na tej ziemi. Wszak gdyby inną była Jego wola, wybrałby sobie na matkę najbogatszą niewiastę świata, w przepysznym pałacu królewskim by się narodził, w złotej kołysał kolebce... Ileż czuwać nad Nim mogło piastunek troskliwych, jakiemi cudnościami zabawiać się mogły Jego oczka niemowlęce!

A jednak nic z tego nie wybrał Jezus dla siebie. Matką Mu będzie uboga, cicha Dziewica Marja, kolebką żłób stajenny, posłaniem suche siano, a piastunami — poza Mateńką Najsłodszą i Józefem Opiekunem, bydło, tchnące nań ciepłym oddechem.

Nic z tej ziemi bogatego nie wybierze dla siebie, ale zato z nieba chóry aniołów kręgiem otoczą zrodzonego Boga i śpiewać będą cześć Jego i chwałę odwieczną: Gloria... gloria... gloria!

Lecz już oto dotarła do ludzi radosna nowina, iż Zbawiciel się narodził. Wybierają się zatem do Niego z pokłonem, z dary wszelakiemi, iżby ubóstwa ni głodu nie zaznała Boża Dziecina. Serca też swoje niosą szczere, ofiarne, miłujące, a Jezus właśnie tylko na te serca spogląda, patrzy w ich głąb i raduje się, że takie mu są oddane. Każde z nich przytuliłby do serca swojego, toż błogosławi im, błogosławi bez słów...

Czyż nie pora i nam wybrać się do onego Żłóbka świętego, kędy Jezus złożony? Ach, śpieszmy, co sił pośpieszajmy do mizernej Stajenki lichej, pełnej jednak Niebieskiej chwały. Nikogo może bardziej nie pragnie widzieć dokoła siebie Jezus, jak właśnie dzieci. One Mu zaśpiewają najszczerzej, najradośniej, że zapomni o chłodzie, jaki Go otacza, o tym chłodzie przyrody i o chłodzie miljonów ludzkich serc, co Go jeszcze znać ani miłować nie chcą.

Wynagrodźcie Mu wy, dzieci, to zimno okrutne, tę obojętność świata dla swego Zbawcy. Bo przecież to Przecudne Dzieciątko, od któregobyśmy oczu oderwać nie mogli, gdybyśmy Je ujrzeli takiem, jakiem przed 1934 laty leżało w Betlejemskiej Stajence, to właśnie dlatego tylko zstąpiło na tę ziemię, aby kiedyś Ofiarą Miłości za nas zawisnąć na drzewie Krzyża. Z miłości ku nam się Jezus narodził, i tylko miłości od nas żąda. Miłości dla siebie i miłości wzajemnej wśród ludzi.

Kto taką miłość w sercu swojem chowa, niechaj czemprędzej bieży do Betlejemskiej Stajenki i tam pieśnią kolędową rozraduje Boże Pacholątko.

Ela Oleska

ŚWIĘTO DZIECI.

Sniło mi się tej nocy, mateczko,
Że mi dał doznać Pan Jezus łaski:
Gwiazdkę ujrzałam siejącą blaski
Nad Betlejemską szopeczką.

Od blasków w oczkach stanęły łezki,
Lecz je otarli zaraz anieli,
Co mnie za ręce z obu stron wzięli,
Po drodze wiodąc Niebieskiej.

Gdy się w obłoczkach skończyła droga,
Wciąż przetykana gwiazdeczek złotem,
Wnet się wstrzymałam z aniołów lotem,
By stanąć w szopce u proga.

Patrzę: Jezusek malutki leży
Wpośród stajenki, w żłóbku na sianie.
Owiec kożuszki, rogi baranie,
Wokół podarki pasterzy.

Wtem do mnie Jezus zwrócił rączęta.
„Wszystkie — powiada — pójdźcie tu, dziatki,
Do mnie się tulcie i do mej Matki,
Bo wasze to dzisiaj są święta".

Kal - i.

Jak się ludzie pisać nauczyli.

Już w najdawniejszych czasach ludzie rozumieli, że niezawsze wystarczyć może język i pamięć, gdyż mową sięgnąć można całkiem tylko niedaleko, a znowu pamięć często zawodzi. Myślano więc nad tem, czemby można i język i pamięć w razie potrzeby zastąpić. W kłopotach takich pomagali sobie ludzie różnemi znakami, który to zwyczaj do dziś dnia jeszcze się przechowuje, przeważnie po wsiach, gdzie niepiśmienni w rozmaity sposób umieją utrwalać sobie niejedno dla spamiętania. I tak n. p. ekonom, gdy nie umie pisać, albo obawia się, że zapomni, nacięciami na kiju zaznacza sobie liczbę kóp zboża, jakie zwożą do stodoły fornale.

Najpospolitszym zwyczajem dla spamiętania czegoś jest wiązanie węzłów na chusteczce. Podobnego sposobu używają dziś jeszcze dzikie ludy Afryki i Ameryki. Za dawnych zaś czasów w amerykańskiej krainie Peru żyli ludzie, którzy z takich węzłów czyli supłów układali opowieści i historje.

Jeden z uczonych, badając te kraje, odnalazł tam cały splot sznurków powiązanych z sobą w supły. Do jednego najgrubszego sznurka były przywiązane cieńsze; na każdym coraz to inaczej wiązane supełki, podwójne i potrójne. Jedne sznurki były czerwone, inne zielone, białe i t. d. Po długich mozołach doszli uczeni do zrozumienia, że każdy supełek, sznurek i kolor miały swoje znaczenie. I tak: czerwone oznaczały wojnę, zielone żniwa. Supełki dwa razy wiązane i umieszczone tuż przy grubym sznurze, oznaczały starszych, inne zaś wyobrażały kobiety i dzieci. Wszystko razem dzicy odczytywali jakby jakie pismo, chociaż sznurki i supełki nie są przecież wcale podobne do naszych liter.

U innych narodów znane były całkiem odmienne znaki. Naprzykład u Egipcjan, na ich starożytnych pomnikach są najrozmaitsze figury i obrazki. Długie wieki mijały, a nikt zrozumieć ich nie mógł, chociaż wiedziano dobrze, że jest to pismo egipskie. Wreszcie przed stu laty pewien uczony Francuz potrafił dociec, co te napisy oznaczają.

Pismo to nazywamy hieroglifami. Każdy hieroglif oznaczał jakieś słowo, albo nawet jedną tylko zgłoskę wyrazu. Naprzykład: narysowana głowa byka oznaczała nie koniecznie jego samego, lecz tylko zgłoskę *ap*, choćby ona sama nie znajdowała się w słowie *aps*, jak to się po egipsku nazywał byk.

Ponieważ Egipcjanie każde brzmienie nazw różnych rzeczy oznaczali osobnym rysunkiem, przeto zdarzało się, że jeden wyraz składał się z kilku obrazków. Dawne egipskie hieroglify przypominają niekiedy nasze rebusy czyli zagadki obrazkowe. Z biegiem czasu zaczęli Egipcjanie używać prostszych znaków i powoli wszystkie ich obrazki zmieniły się na znaki.

Pismo Egipcjan poznali Fenicjanie mieszkający na zachodniem wybrzeżu Azji i przerobili je do swego użytku, przyczem dokonali wielkiego wynalazku. Mianowicie zauważyli oni, że wymawiając najrozmaitsze wyrazy, których jest nieprzebrana ilość, człowiek powtarza ciągle te same dźwięki i tylko je w różny sposób przestawia. Przypatrzmy się naprzykład takim wyrazom jak k o t, k t o, t o k. Wszystkie one mają te same dźwięki, tylko w każdym są inaczej poprzestawiane.

Otóż właśnie Fenicjanie pierwsi to zauważyli i zrozumieli, że najlepiej będzie obmyślić znaki nie dla wszystkich wyrazów istniejących w ich języku, lecz tylko dla wszystkich dźwięków. Zliczyli więc, ile dźwięków wymawiają i każdy dźwięk oznaczyli osobnym znakiem. Z tych to właśnie znaków, wyrażających na piśmie dźwięki mowy ludzkiej, powstało abecadło. Fenickie zatem było pierwszem abecadłem na świecie, a powstało parę tysięcy lat temu.

A. P.

CHOINKA.

Po dżdżystych dniach późnej jesieni, nadeszła zima w całej swej okazałości.

Zmarzniętą ziemię przykrył śnieg płaszczem nieskazitelnej bieli, przyprószył lekkim puchem bezlistne konary i gałązki drzew, tworząc na nich wspaniałą sędzielinę.

Szyby okien domów oraz wystaw sklepowych ustroił siarczysty mróz haftem lśniących kwiatów, niknących w cieplejszych godzinach południa pod promieniami słońca. Długie zaś sople lodu przybrały dachy w kryształowe frendzle. Na tafli ściętych wód parkowego stawu miłośnicy ślizgawki używali wesołej zabawy.

Na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia, jak zresztą codziennie, wysypali się w południe na ulice miasta uczniowie i uczenice licznych szkół miejskich, rozpraszając się na wszystkie strony jużto pojedyńczo, już mniejszemi lub większemi gromadkami. Uśmiechnięte usta, wesołe twarzyczki, radosne śmiechy i rozmowy świadczyły o tem, że myśl tej dziatwy skupiła się około jakiegoś nader dla niej miłego przedmiotu. A było tak rzeczywiście. Kto byłby się przysłuchał dziś rozmowie tych dzieci, przekonałby się, że prawie wszystkie grupki gawędziły o nadchodzących świętach, o uroczystej wigilji — no i o najpiękniejszym a zarazem najdroższym podarunku: o choince.

W jednej z większych gromadek dziewczęcych, składającej się z dobrych uczenic a kochających się koleżanek, toczyła się ożywiona rozmowa na ten sam temat. Wszystkie dziewczynki brały w niej żywy udział. Jedna tylko dziesięcioletnia Andzia milczała. Czarne jej oczka smutnie patrzyły na świat.

Towarzyszki znały przyczynę dzisiejszego jej smutku, to też przykro im było, że ta kochana Andzia nie podziela ich radości.

Na rogu jednej z ulic wiodących do rynku, pożegnała Andzia koleżanki i przyśpieszyła kroku. Nawet śliczna zimowa szata miasta nie miała dziś dla niej powabu. Umysł jej ogarnęła myśl jedna: nasycić oczy widokiem ślicznych choinek.

Dochodząc do rynku, skierowała wzrok w stronę, w której rokrocznie sprzedawano drzewka na święta. Z białego podłoża śniegu cały las większych i mniejszych choinek strzelał w górę smukłemi wierzchołkami.

Doszedłszy do celu, stanęła na uboczu, przyglądając się ślicznym jodełkom. Kobiety, mężczyźni, dziewczęta, chłopcy i dzieci obstąpili drzewka, wybierając je i targując.

Andzi wolno było tylko zdala przyglądać się drzewkom. Jeszcze zeszłego roku była tu z rodzicami i mogła nietylko zbliżyć się, lecz i wybrać jedno z nich na własność, by je następnie wraz ze starszym braciszkiem Bolkiem, przy pomocy rodziców przyozdobić w złocone orzechy, różne przysmaki i cacka, w tajemnicy przed młodszem rodzeństwem.

Dziś ojca kryje zimna mogiła, a matka z nader szczupłej pensji często najpotrzebniejszych wydatków opędzić nie jest w stanie. Ileż to razy Andzia w braku książki uciec się musi do koleżanek, które z największą uprzejmością przychodzą jej w pomoc, pożyczając, czego jej tylko braknie. O choince więc ani marzyć nie może.

I myśl ta nasunęła jej jednocześnie na oczy Zdzisia, syna biednej wdowy z oficyn, jej rówieśnika, towarzysza zabaw lat najmłodszych, a od lat czterech kalekę; Zdzisia, którego sama nauczyła czytać, któremu znosiła książki z powiastkami, by go rozweselić, by mu czas uprzyjemnić.

Każdej wigilji matka przynosiła biednego kalekę do domu jej rodziców, gdzie razem śpiewali kolędy, a rodzice hojnie obsypywali chłopca przysmakami. Tego roku i biedny Zdziś pozbawiony będzie widoku Bożego drzewka. Na to wspomnienie łezki zakręciły się w oczach dziewczynki.

Tymczasem wynoszono jedną choinkę za drugą. Żegnały one raz na zawsze leśne swe siostrzyce, by, przybrane w różnorodne przysmaki, świecidełka, łańcuchy kolorowe, złote nici, z betlejemską gwiazdą na szczycie, zajaśnieć rzęsistem światłem ku radości dziatek.

Napatrzywszy się do woli śniegiem przyprószonym jodełkom i poczuwszy dotkliwe zimno, powróciła Andzia do domu.

Nadeszła wigilja. Od samego rana wzmożony ruch panował w mieście i po domach. Kobiety, panie, służące, panienki, a nawet i małe dziewczątka krzątały się wesoło, by przed ukazaniem się gwiazdki przygotować wieczerzę.

W domu wdowy, matki Andzi, nie było dziś wcale radości. Skromna wigilja, pierwsza po stracie ojca i męża, ze świeżem jego wspomnieniem, nie mogła być inna. Gdyby choć choinka rozweselić mogła biedne sierotki, myślała ze smutkiem biedna wdowa.

Wtem na niebie zabłysła pierwsza gwiazdka.

Z jej ukazaniem rozległ się głos dzwonka. Skoczyła Andzia ku drzwiom. Jakież zdziwienie i radość ogarnęły jej serduszko, kiedy ujrzała przed sobą siwego staruszka, z długą srebrną brodą, osypanego śniegiem, a niosącego ślicznie przybraną choinkę.

Był to dar drogich koleżanek i przyjaciółek. Każda z nich ujęła sobie część swych przysmaków i cacek i tak wspólnemi siłami przybrały to drzewko Boże, by kochana ich towarzyszka, jak i one, podzielać mogła dzisiaj radość dziecięcą.

Jakże wdzięczną była im Andzia za ich dobre serca, za ich pamięć i współczucie. W radości swej nie zapomniała też o nieszczęśliwym kalece, o biednym Zdzisiu. Sama pobiegła do jego matki prosić, by przyniosła chłopczynę, gdy tymczasem Boleś zajął się oświeceniem drzewka.

Choinka rozweseliła dom, wyciskając łzę radości z oczu wdowy, kiedy z ust dzieci popłynęły dźwięki prześlicznych kolęd.

Józefa Korab.

Na wizycie u wilka.

Każda królewna, o której mamy, ciocie, babunie opowiadają bajeczki dzieciom, bywa bardzo piękna. Ale niech się schowają wszystkie królewne wobec malutkiej Zochy. Już pewnie śliczniejszego boba świat nie widział.

I Zocha mieszkała we dworze, ale w takim, co stoi na wsi w ogrodzie, a nie na królewskim zamku. Do Zochy mówił wujaszek czasem: „Ej, ty złoty króliku". Ale nie dlatego, żeby była córką króla, tylko dlatego, że kiedy na trawie się położy przy królikach, nie o wiele jest od nich większa, a poznać ją zdaleka po główce całej w cudnych złotych kędziorkach.

Ale to tylko, że z niej śliczne dziecko, nie jest jeszcze powodem, żeby o Zochnie aż inne dzieci słuchały powiastek. Zaraz wam powiem dlaczego.

Oto Zocha była odważna, jak żadna inna dziewczynka w jej wieku, a miała lat dopiero cztery. Na dywanie nad łóżkiem wujaszka straszny tygrys z wąsami otwiera paszczę, a Zocha głaszcze go jak kota. Ona się nawet wilka nie boi. Kiedy jej ciocia opowiedziała znaną dzieciom bajeczkę o „Czerwonym Kapturku", śmiała się Zocha:

— O, jabym się nie dała zjeść wilkowi!

Więc jak to było w bajce?

Dziewczynka w czerwonym kapturku szła przez las, a kiedy ją wilk spotkał i spytał, dokąd idzie, powiedziała, że do babci, zanieść w koszyczku konfitury od mamy. Wilk dowiedział się w ten sposób, gdzie babcia mieszka, pobiegł do jej domku i zjadł ją na śniadanie, a sam w jej czepeczku położył się na łóżku i czekał na wnuczkę.

Przyszedł Czerwony Kapturek i pyta:

— Czemu babcia ma takie duże uszy?

— Żeby cię lepiej słyszeć — wilk odpowiada z pod kołdry.

— A czemu babcia ma takie duże usta?

— Żeby cię zjeść na obiad — krzyknął i zjadł dziewczynkę w czerwonym kapturku.

— A kiedyś taka odważna, Zocho — pytała ciocia — to powiedz nam, cobyś ty zrobiła na wizycie u wilka?

Dziewczynka pomyślała przez chwilkę, a potem odpowiadając, tak mówiła, wyobrażając sobie, że jest sama tym z bajeczki Czerwonym Kapturkiem:

— Moja ciociu, czyżby Zocha,
Chociaż mała,
Nie poznała
Swojej babci, którą kocha?
Choć za babcię wilk przebrany,
W czepku leży,
Któż uwierzy,
Że mi straszny wilk nieznany.

Z wilkiem sprawa —
Nie zabawa!
Więc odważnie,
Lecz uważnie.
Choć ze strachu zadrży nóżka,
Trzeba wleźć na brzeżek łóżka,
Siąść na kołdrze, co przykrywa
Zbója, który owce porywa,
Potem trzeba rzec do wilka:
„Słuchaj stary, jeszcze chwilka,
Wujcio tutaj wpadnie z bronią,
Z której kulki kule gonią.
Jak z tej strzelby grad się sypnie,
Wilk, czy nie wilk — ani zipnie,
Przewróci tylko oczyma,
Już go niema!
Słuchaj, wilku, żal ci życia,
A więc wyłaź z pod przykrycia,
I po cichu, bez hałasu,
Zmykaj sobie precz do lasu.
Wuj nadejdzie z prawej strony:
Nie idź tędy, boś zgubiony!
Jeśli ukryć chcesz oblicze,
To kapturka ci pożyczę,
Sama na łeb ci nałożę:
Niech w ucieczce dopomoże.
Wiem, mój wilku, że żyć musisz,
Lecz mi żal, że owce dusisz!“
Wilk zdejmuje czepek z głowy,
Do ucieczki już gotowy.
Zocha spyta: — „Pan odchodzi?
Jam ostrzegła, więc się godzi
Bodaj przyznać się do tego,
Coś z babunią zrobił złego”.
A wilk na to zawstydzony,
Kapturek kładąc czerwony:
„Gdybym wiedział, gdzie się skryła,
Tobym babcię całą zjadł,
Lecz już chatka pustą była,
Kiedym z lasu tutaj wpadł“.
„To się, wilku, tobie chwali —
Na to Zocha rzecze mu —
Lecz umykaj teraz dalej,
Bo za chwilkę wuj już tu!“
Wilk nie czeka,
Już ucieka.
A wtem szafa się otwiera,
Ze środka babcia wyziera.
„Dzielny Czerwony Kapturek
Wart jest dostać konfiturek“.

Wujcio Kazio

Posadziła mamu-ia małego Zbycha w głębokim fotelu, i założywszy mu słuchawki radjowe, rzekła:



— Ja, plosę państwa, słucham ladja.

— Słuchaj tymczasem, syneczku, radja, zanim mama powróci. Sama zaś pobiegła do kuchni zobaczyć czy mleko dla synka gotowe.

Kożuszek już się powoli podnosi, więc poczekać trzeba, aby mleko nie wykipiało.

A Zbych tymczasem zasłuchał się ciekawie, aż mu się oczka bystre rozszerzyły. Coś tam gra, coś tam śpiewa, chociaż w pokoju niema nikogo. O, słychać wyraźnie: Pójdźmy wszyscy do Stajenki, do Jezusa, do Panienki...

Zbych też by chciał pójść do „Jezusia", którego zna dobrze ze ślicznego obrazka nad swojem łóżeczkiem. Już nóżkę zgiętą wyprostowuje, by się zsunąć z fotela, już rączkami sięga do słuchawek, aby je strącić z głowy, ale tam wciąż śpiewają i śpiewają, więc słuchać trzeba dalej.

Tymczasem mama wpuściła do przedpokoju gości, którzy przyszli złożyć życzenia świąteczne i prosi ich, by weszli do salonu. Wchodzą — a tu w fotelu siedzi Zbych zasłuchany.

— Cóż ty tu robisz, maleńki, tak sam w pokoju — pytają goście, wyciągając ku chłopczykowi ręce na powitanie.

A Zbych odpowiada poważnie, pilnując, by sznurów nie poplątać:

Szarady, zagadki — dla naszej gromadki

Łamigłówka literowa.

Całość składa się z ośmiu liter, które tworzą trzy sylaby, a mieszczą w sobie aż pięć imion ludzkich. Trzy z nich to imiona nadawane od czasów biblijnych, a dwa używane dopiero w czasach nowszych. Trzy imiona kobiece, a dwa męskie. Pięć liter początkowych da nam imię czcią największą otaczane, ale gdy się je powiększy o jedną literkę, zmieni się całkiem, iluż panów tak się dziś nazywa. Trzy litery w środku — mąż świątobliwy, ale być może i chłop pospolity. Cztery litery końcowe to biblijna matrona czcigodna, albo panna dzisiejsza. A z wszystkich czterech imion piąte gdy się złoży, to się odkryje imię na wsi co piątej dziewuchy.

Szarada.

Mocno cię *pierwsza - druga* oburzy,
Gdy się na nią nie zasłuży.
Pierwsza zaś z *trzecią* stanowi śniadanko,
Mama z tatusiem lubi ze śmietanką.
O *pierwszej* z *czwartą* mówią święte księgi.
Jako o miejscu, które słynie z cudu.
Czwarta - trzecia - gdzie w kościele tłum [ludu.

Drugiego z *pierwszem* unika się w wodzie,
Bo ma szczypce jak obcęgi.
Po *drugiej - czwartej* nie bolą blizny,
Jeśliś ją dostał w służbie Ojczyzny.
Całość jest w ciągłym pochodzie,
Czy w czas burzy, czy w pogodzie,
Tygodniami po pustyni
Na wielbłądach beduini.